Nr 3
28. VII. 1946 r.

TYDZIEŃ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE

Cena 8 zł



Wybrzeża polskiego bronią dziś czołgi i dalekonośne działa. Niemniej przetrwoła parusetletnia tradycja powitania wojska z morzem przez oddziały kawalerii.

Zawiadamiamy naszych czytelników, że z dniem 4 sierpnia, pismo nasze ukaże się w znacznie zwiększonej objętości i zawierać będzie szereg nowych szczegółów i zdjęć z Powstania Warszawskiego.

TRZY GDYNIE



Nowy herb miasta Gdyni wyróżniony I-ą nagrodą na konkursie.



Zatopiony po dziś dzień statek niemiecki w basenie Prezydenta

GDYNIA PRZEDWOJENNA

Jeszcze w 1925 roku mała osada rybacka na piaskach nadmorskich z półtora tysiącem ludności, a w piętnaście lat później miasto 140-tysięczne. Z niespełna 650 ha obszaru rozrasta się dziesięciokrotnie i pod tym względem ustępuje tylko 5-ciu miastom polskim. — Gdynia, miasto pełne rozmachu w pracy, o największym tempie budowlanym w Polsce, ale i pełne kontrastów. Z jednej strony warstwa „sfer górnych", żądna zabaw i użycia, zamieszkała w centrum miasta lub w dzielnicach willowych, z drugiej — liczne rzesze proletariatu, gnieżdżącego się na przedmieściach. Obok piętrowych kamienic falują łany zboża, zielenią się pola ziemniaków, pasie się bydło. Pomiędzy rzędami nowoczesnych domów tuli się jeszcze parterowy budyneczek, nieraz strzechą kryty. Na środku najbardziej ruchliwej ulicy wiekowy dąb — pozostałość dawniejszego gaju. Obramowany ścianami wysokich kamienic, nadszarpnięty wiekiem wiąz, a na nim bocianie gniazdo, z którego bocianięta lubiły pod wieczór wylatywać na szczyt dachu pobliskiego dworca kolejowego.

Ludność Gdyni była młoda, jak samo miasto. Przeciętny wiek mieszkańców był znacznie niższy, aniżeli w innych miastach kraju. Do Gdyni napływała generacja młodsza, pełna energii i życia, w poszukiwaniu pracy i zarobku, w nadziei wybicia się tu i dojścia do niezależności materialnej. W Gdyni nie było emerytów ani ludzi na dożywociu.

Gdynia była miastem o najbardziej różnorodnym składzie ludności. Napływali tu ludzie z całego kraju. Nie było chyba w Polsce miasteczka, które by nie miało swego przedstawiciela pośród ludności Gdyni. Było to miasto bez tradycji dzielnicowych, jakkolwiek kwitnął tu lokalny patriotyzm. Kto przybywał do Gdyni i zamieszkał tu na stałe, przywiązał się do tego miasta.

Ale miasto — Gdynię traktowało się jako przybudówkę Gdyni — portu, PORT bowiem był tym atrakcyjnym punktem, który utożsamiano z pojęciem „Gdyni". Miasto żyło z portu, a port z handlu zamorskiego.

Gdy człowiek znalazł się w porcie i zechciał się wsłuchać w rozmowy, prowadzone przez ludzi tam pracujących, ruchliwych i wiecznie czynnych, słyszał ciągle wyrzucane z ust słowa: eksport, import, czarter, fracht, konosament, arbitraż, ubezpieczenie, spedycja, maklerka, sztauerka, sziphendlerka, i tym podobne, dziwaczne dla mieszkańca głębi kraju — wyrazy, którymi operują ludzie związani pracą w portach.

Port był dumny ze swej pracy i osiągnięć, i miał po temu uzasadnione powody. W niespełna 10 lat stał się największym na Bałtyku , a 8-mym w Europie. Do portu gdyńskiego zawijały statki z najdalszych zakątków morskich, pod banderami wszystkich niemal krajów świata. Reprezentowane tu były bandery 40 państw, w tym tak egzotyczne, jak japońska, perska, turecka, panamska, boliwijska, chilijska, egipska, australijska i inne. Gdynia połączona była 36 regularnymi liniami z 92 portami europejskimi i 10 pozaeuropejskimi. W Gdyni znajdowało się 22 placówki konsularne państw obcych.

W sferach handlu międzynarodowego i żeglugi Gdynia miała opinię portu dogodnego. Obsługa jego była sprawna, dzielna, inteligentna. Podkreślano sprężystość administracji portowej i sumienną pracę licznych firm portowych. Panował tu ład i porządek. Gdynia była na drodze do stałego rozwoju i, według przewidywań, w roku 1950 miała się stać trzecim co do wielkości miastem Polski.

GDYNIA POD OKUPACJĄ

Wróg wkroczył do Gdyni po 14 dniach jej bohaterskiej obrony. Już po paru godzinach oddziały S. A. i S. S. rozbiegły się po domach. Wyciągano mężczyzn i spędzano ich na place. Szczegółowa rewizja osobista, szykany, bicie, znęcanie się. Pod wieczór tysiącami popędzono jednych do Gdańska, drugich pozamykano w kościołach, kinach i różnych salach zebrań. W ogromnej ciasnocie mężczyźni byli więzieni przez trzy dni i noce. Bez jedzenia i picia, bez możności wyjścia nawet za potrzebą fizjologiczną. Po trzech dniach badano każdego. Nielicznych zwolniono, resztę popędzono na roboty lub do obozów koncentracyjnych. Miasto zostało bez mężczyzn — Polaków. Kobiety, stroskane bólem i niepewnością jutra, znalazły się bez opieki, bez środków do życia.

Pierwsza fala cywilnych okupantów napłynęła z Gdańska. Jak stado zgłodniałych wilków rzucili się na własność polską. Zabrano Polakom sklepy, przedsiębiorstwa, zakłady rzemieślnicze. Wyrzucono ich z mieszkań, zakazano uczęszczać do kościołów, a księży wysłano do obozów. W lokalach publicznych ukazały się słynne „Für Polen verboten". Dla Polaków ustanowiono godziny zakupu w sklepach i na targach. Polacy musieli się kłaniać każdemu umundurowanemu Niemcowi, schodzić z drogi każdemu ze znakiem swastyki.

Pod jesień 1939 roku wyszło zarządzenie: Polacy muszą opuścić miasto: pakowano ich do bydlęcych wagonów i wywożono w nieznanym kierunku. W ten sposób wysiedlono większość ludności polskiej. W Gdyni pozostali nieliczni, których przeznaczono do najcięższych robót, zepchnięto do roli pariasów. Osadzono ich na dalszych, najgorszych przedmieściach. Wielu, z mniejszym lub większym naciskiem, skłoniono do „wniemczania się". Reszta, bardziej odporna, trwała w ciężkim bycie, nie tracąc wiary w wyzwolenie.

Gdynia zaczęła się napełniać marynarzami niemieckimi. Niepokojeni przez naloty aljanckie w portach zachodnich, Niemcy przenieśli do Gdyni bazy szkoleniowe całej marynarki wojennej. Utworzyli tu duże skupiska marynarzy; coś ponad 60.000 ludzi. Gdynia stała się miastem garnizonowym. Handlowe życie portu zamarło. Niekiedy tylko zjawił się tu statek szwedzki.

Ponury okres dla Gdyni trwał lata. Miasto pogrążone było w ciemnościach. Ruch na ulicach ograniczono. Handel zamarł. Po paru latach zaczęły napływać rzesze wysiedleńców z Niemiec zachodnich, w nadziei ukrycia się przed nalotami. Zajęto wszystkie pomieszczenia, zbudowano wiele baraków. Tysiące jeńców wojennych i cywilnych sprowadzono do tych obót.

Ciężkie życie miasta przerywały niekiedy naloty aliančkie. Wtedy strach nachodził na panów miasta. Budowali sobie schrony, pragnęli ukryć się pod ziemią. Nie wiele to pomagało. Po każdym nalocie ubywało kilka statków w porcie, kilkanaście kamienic i kilkudziesięciu mieszkańców. Każdy nalot witany był z radością przez pozostałych tu Polaków i licznie zgromadzonych jeńców. Samoloty alianckie były zwiastunami zwycięstwa.

GDYNIA WYZWOLONA

Świadomość przegranej Niemiec stawała się coraz widoczniejsza, nawet dla najbardziej zagorzałych nazistów. Dni wyzwolenia zbliżały się. Potężna ofenzywa armii czerwonej parła wroga. Odcięci od zachodu sforsowaniem wału pomorskiego, Niemcy znaleźli się w pułapce. Jedyna droga ucieczki, to morze. W chaosie przyfrontowym, zazwyczaj wśród nocy, pakowano ludzi na statki. Ogromnie przepełnione okręty wypływały z portu ale na morzu czyhały na nie łodzie podwodne. Wiele statków zatopiono, a wraz z nimi zginęło wielu uciekinierów.

Gdynia została wyzwolona. Żołnierze armii czerwonej wraz z polskimi czołgistami wkroczyli do miasta. Szczątki ocalałej ludności polskiej witały ze łzami wywolenie.

Niebawem zaczęli przybywać pierwsi wysłannicy rządu polskiego i obejmować administrację cywilną. Równocześnie technicy i inżynierowie przystępują do odbudowy zniszczonego umyślnie i złośliwie portu. Praca musiała szybko postępować, interes bowiem gospodarczy i polityczny kraju wymagał, aby port jak najszybciej nawiązał normalny kontakt z zagranicą.

Przystąpiono do pracy, i po roku port gdyński może już przyjąć i obsłużyć 6 mil. ton rocznie. Życie w nim nabiera przedwojennego rozpędu. Z miesiąca na miesiąc osiąga się nowe rekordy. Straszliwie poszczerbiony port leczy swoje rany.

Miasto podąża za portem. Przyjezdni powiadają, że poza Warszawą nie ma w Polsce innego miasta, gdzieby panował taki rozmach w handlu i w życiu, jak w Gdyni—mieście portowym.

Bolesław Kuźmiński

Skwer Kościuszki w Gdyni

Wiadomości z Gdańska

„PÓŁNOCNE Zjednoczenie Przemysłu Konserwowego" przeprowadziło ostatnio swą największą transakcję handlową, eksportując do Anglii tonę łososia wartości 450 tysięcy złotych. Transakcja dokonana została za pośrednictwem GAL na warunkach kompensacji za trawlery.

TOWARZYSTWO Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Gdańsku łagodzi skutecznie spory, jakie wynikają niekiedy przy przekazywaniu przez władze radzieckie władzom polskim obiektów nadmorskich na podstawie umowy międzypaństwowej z dn. 19 marca r. b. Dzięki interwencji Towarzystwa wywieszono ostatnio polskie bandery państwowe na masztach latarni morskich w Derłowie i w Kołobrzegu.

ODBUDOWA Politechniki gdańskiej powoli postępuje. Ukończono montaż żelaznej konstrukcji dachu. W budynku głównym prowadzi się roboty budowlane i instalacyjne. Rozpoczęto remont gmachu Architektury.

SPOŁEM — Zw. Gosp. Spółdz. R. P. ma w Okręgu gdańskim 35 placówek handlowych i zakładów przetwórczych. Obroty, dokonane ostatnio przez placówki handlowe, wynosiły 261,8 milionów zł; obroty zakładów przetwórczych osiągnęły sume 14.8 milionów zł.

ATTENDYŚCI



ODSŁONIĘCIE TABLICY PAMIĄTKOWEJ PODCZAS UROCZYSTOŚCI OTWARCIA MOSTU IM. PONIATOWSKIEGO W DN. 22. VII. 46 R. STOJĄ OD LEWEJ: PREZ. K.R.N. OB. B. BIERUT, MARSZ. ROLA-ŻYMIERSKI (TYŁEM) I PREZ. M. ST. WARSZAWY INŻ. TOLWIŃSKI.

Nazwą tą określano we Francji wszystkich, którzy w okresie okupacji niemieckiej zajmowali postawę **biernego oczekiwania** wobec rozwoju toczących się wypadków. Nie byli to zwolennicy rządu Vichy, nie byli to również zwolennicy de Gaulle'a. Mówiąc nawiasem, tych, co oczekiwali, można było liczyć na miliony. Po prostu stanowili większość narodu. Nie oni kompromitowali się kolaboracją z Trzecią Rzeszą, ale i nie oni brali udział w Ruchu Oporu. Stojąc na uboczu, attendyści oddawali się bez reszty sprawom gospodarczym, orząc, siejąc, produkując lub handlując — byle jak najdalej pozostać od zagadnień przyszłości kraju. Bo nawet adherenci Pétain'a mieli jakiś pozytywny program: ciasny, jednostronny, opierający się o faszyzm i hitleryzm, ale zawsze program. A jeżeli im się zdawało, że go posiadają, streszczał się on w jednym słowie: Nie! Uważali się również za „dobrych Francuzów" i patriotów, ludzi bezstronnych i umiarkowanych. Można by w nich jednak widzieć raczej tchórzliwych kunktatorów, zgrzybiałych staruszków lub krótkowzrocznych groszorobów. I takimi są po dziś dzień.

Z attendystami na swojskim, polskim gruncie znamy się nie od dzisiaj. Nie tak dawno, bo w latach 1916—1918, tworzyli oni wielki obóz „pasywistów". Ta negatywna nazwa oznaczała niechęć do kolaboracji z Niemcami Wilhelma II i Beselera. Pięknie! Ale jednocześnie obóz ten nie chciał brać udziału w budowie zrębów niepodległego państwa. Jego zwolennicy, nie chcąc skalać swych rąk dotknięciem niemieckich dłoni, trzymali je w kieszeniach, ufni, że niepodległość przyjdzie sama, względnie zjawi się z wojskiem aliantów zachodnich. Rzeczywistość nie potwierdziła ich złudzeń: nie doszło do okupacji Polski przez Francję i Anglię, i trzeba było o własnych siłach rozpoczynać start, spóźniony o rok czy dwa lata.

I dzisiaj wielomilionowa masa przygląda się z boku wysiłkom przebudowy i odbudowy Polski. Współcześni pasywiści znowu trzymają ręce w kieszeniach i wmawiają w siebie i innych, że „mądrość" i „ostrożność" doradzają postawę biernego oczekiwania. Po co się angażować? Po co nadstawiać karku? Po co brać na siebie ciężar wysiłku i odpowiedzialności, skoro łatwiej i przyjemniej krytykować w sposób nieodpowiedzialny?

Wielu z nich twierdzi, że to nie ta Polska, o której śnili w czarną noc okupacji. Wielu z nich się usprawiedliwia — przed nami i przed historią — że muszą zarabiać i myśleć o chlebie powszednim, a od „polityki" są zawodowcy, którym za to płacą. Jeszcze inni powołują się na to, że nikt ich nie wzywał — albo, że ich oferty odrzucono. Niewątpliwie, każdy ma cząstkę racji. Ale tylko cząstkę. I to osobistą, subiektywną. Nie mają oni racji obiektywnej. Widzą tylko swój interes egoistyczny, drapowany w togę patriotyzmu lub „zdrowego rozsądku", nie widzą natomiast ani dobra ogółu, ani prawdziwych motywów swego oczekiwania.

Powiedzmy sobie wyraźnie: jedni attendyści nie śmią się przyznać, że są przeciwnikami **wszystkiego**, co w Polsce zrobiono po zrzuceniu niemieckiego jarzma, drudzy zaś wstydzą się odkryć istotne — i bardzo przyziemne — powody swego absenteizmu. Bo musi być biernym widzem ktoś, kto po za drzewami nie widzi lasu, kto nie odróżnia plew od ziarna, małych wykonawców od wielkich idei, rzeczy drugorzędnych od spraw zasadniczych. Bo musi trwać w oczekiwaniu na coś niewiadomego człowiek, który odwykł od poważnego myślenia i nawet od roboty. Przecież setki tysięcy naszych rodaków w Niemczech tylko dlatego nie chce wracać do kraju, że odzwyczajono ich od pracy i wysiłku, a jeść im dają za darmo— za to, że się Polak drapuje w togę „emigranta" czy innego „cierpiętnika".

Odpowiedzialność przed historią ponoszą wszyscy: i ci, co idą naprzód, i ci, co stoją w miejscu. Nie odróżniamy — i słusznie — „złych" Niemców od „dobrych". Wszyscy Niemcy zawinili i wszyscy ponoszą karę. Jeżeli kto sądzi, że gapienie się na bieg wypadków zwalnia od kary za błędy, popełnione przez tych, którzy coś robią, to się grubo myli. Im więcej gapiów, tym trudniej wyciągnąć wóz z błota, w które wjechał, ponieważ pociski wojenne wyżłobiły dziury w szosie. Różne szczegóły wozu mogą się nam nie podobać. Czy mamy wobec tego pozostawić go w błocie? Ale w takim razie i my tam pozostaniemy.

A. Falk



Pierwsza podróż szkolna „Daru Pomorza" który w dniu 22.6 b. r. odpłynął z Gdyni wraz z załogą przyszłych oficerów Marynarki Handlowej.

Antoni Słonimski

* *

Związały nas wichry jesieni
I żary lata.
Czasem po jednym spojrzeniu
Poznajemy się śród odmętów,
Banderami z dalekich okrętów
Pozdrawiamy się —
Bracia i siostry wielkiego świata...
Ach, czy nie czujesz słonego powiewu,
Który owiewa ci skroń?
Dosyć rozmowy i gniewu.
Piersi przygotuj do śpiewu
I podaj mi dłoń.
Czego pożądasz? Czego ci trzeba?
W oczy zagląda głęboka woda
Złotem meduzy.
Wysoko z nieba
Jak lutnie muzy
Wiatrem nas głaszcze
Słodka pogoda.
Rozpina płaszcze
Rozrywa bluzy
Swoboda!
Wejdźmy na maszty i reje,
Tam — bliżej nieba.
Patrzaj, już dnieje...

(urywek z „Dialogu o miłości Ojczyzny")

6 SPÓŁDZIELCZYCH OŚRODKÓW SZKOLENIOWYCH NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

Z inicjatywy Związku Gospodarczego „Społem" na Ziemiach Odzyskanych powstało już 6 spółdzielczych ośrodków szkoleniowo-wypoczynkowych. Są to ośrodki: w Jeleniej Górze Łagowie, na ziemi Lubuskiej, Ustroniu Nadmorskim, na Pomorzu Zachodnim, Głębokim k/Szczecina, Rudczanach na Mazurach i Puszczykowie k/Kładzka.

W ośrodkach kształcą się nowe kadry spółdzielców, którzy w związku z akcją zagęszczenia sieci spółdzielczej na Ziemiach Odzyskanych uruchomią wkrótce tam nowe placówki spółdzielcze.

W najbliższym czasie uruchomione zostaną dalsze ośrodki szkoleniowe w różnych miejscowościach Ziem Odzyskanych.

IMPONDERABILIA

Po wypadkach kieleckich przeczytałem w jednym z pism dwie rzeczy: jedną był artykuł wstępny, drugą — felieton, czyli rzeczy dalekie sobie i niczym niezwiązane. Jednak, po przeczytaniu ich nastąpiło w mych myślach krótkie spięcie, które pociągnęło za sobą niejakie skojarzenia i refleksje. W artykule wstępnym uderzyło mię następujące zdanie: „Echo ponurej zbrodni kieleckiej rozchodzi się coraz szerszymi kręgami po całym świecie, jednając nie tylko jej sprawcom, ale i... narodowi polskiemu smutną sławę barbarzyństwa". Felieton podawał do wiadomości publicznej fakt, że produkcja penicylliny w Anglii zwiększyła się do tego stopnia, iż „cudowny ten środek otrzyma zastosowanie w leczeniu weterynaryjnym". Stąd wniosek autora: gdzieindziej ludzie nie mogą sobie pozwolić na penicyllinę, a w Anglii będą nią leczyć (powiada autor) „bydlęta". Uwaga o pierwszeństwie ludzi przed „bydlętami" jest zapewne słuszna, wszelako żartobliwy autor kładzie nacisk nie na tę okoliczność, lecz na coś innego: cztery mianowicie razy powtarza na różne tony takie zdanie: „chciałbym w tej chwili być bydlątkiem, pod warunkiem, że żyłbym w t. zw. dumnym Albionie"; „gdybym był bydlęciem angielskim, pasłbym się spokojnie"; „zapragnąłem stać się angielskim bydlęciem"; i wreszcie: „dlaczego wolałbym być angielskim bydlęciem?" Oczywiście dlatego, że jeśliby zachorował, byłby natychmiast wyleczony penicylliną.

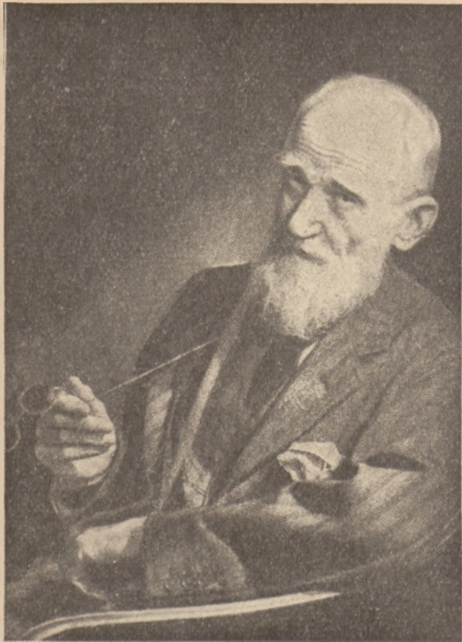
Gdym czytał dwie wzmiankowane rzeczy, przysłano mi do podpisania protest, jaki grupa „pracowników kultury" (profesorów, artystów, literatów, dziennikarzy) zakładała przeciwko wypadkom kieleckim. Podpisując go, przypominałem sobie że były czasy, kiedym w inny nieco sposób protestował przeciwko podobnym wypadkom. Jesienią roku 1937, po rozruchach antyżydowskich w Wilnie, wywołanych przez pewne odłamy młodzieży, zwanej wówczas „obwiepolem", a dokonanych przez męty społeczne, pisałem namiętnie artykuł do „Wiadomości Literackich", biorąc tytuł ze Słowackiego: „Gdzież to wy idziecie?" Po artykule doczekałem się napadu ulicznego na siebie ze strony mętów. Ale cóż? Nigdybym nie uważał, że męty mogą być „reprezentacyjne" dla narodu polskiego, że mogą mu one jednać niesławę barbarzyństwa. Przeciwnie. Wierzyłem zawsze, że naród mój nie jest barbarzyński. Mimo ostre zwalczanie piórem naszych wad narodowych (a zdaje mi się, że nikt wśród narodów europejskich nie bywa tak surowy w osądach swego narodu jak Polak swojego), byłem zawsze zdania, że acz grzeszni wielce, jesteśmy jednak narodem kulturalnym, bardziej kulturalnym, niż sami przypuszczamy. Mam przekonanie, że wobec narodu żydowskiego — mimo różnice, jakie nas mogły dzielić przed wojną — złożyliśmy egzamin kultury i humanitaryzmu podczas okupacji niemieckiej. Gotów jestem powołać się w tej mierze na dziesiątki Żydów, głośnych dziś w Polsce, z którymi utrzymywałem żywe związki w epoce ghetta i okupacji, a którzy potwierdziliby moje słowa. Naturalnie, męty i łotry były, są i będą zawsze w każdym narodzie. Nie należy jednak i nie wolno za ich występki czynić odpowiedzialnym narodu. Wydaje mi się, że my Polacy mamy literaturę, jedną z najbardziej humanitarnych; nasi pisarze od Modrzewskich i Kochanowskich poczynając, wpajali w nas miłość do człowieka; „człowiek — uczyli nas — to rzecz święta, której krzywdzić nikomu nie wolno". Naród, który wydał takich twórców, jak Staszic, Kołłątaj, Mickiewicz, Słowacki, Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Świętochowski, Żeromski, Kasprowicz — nie zasługuje na to, by skromny dziennikarz, mówiąc o nim, szastał epitetem barbarzyństwa, zwłaszcza dziś, gdy trzeba wciąż leczyć i łagodzić, nie jątrzyć. Gdym czytał wzmiankowany artykuł, wydawało mi się, że jego autor nie ma poczucia godności.

Taki sam brak godności dostrzegłem w felietonie o „bydlętach angielskich". Jego sens jest świadomie dwuznaczny. Autor, igrając wyrazem „bydlę", podsuwa czytelnikowi myśl, że Anglicy — to bydlęta. Nie należy, nawet żartem, myśleć o żadnym narodzie, że jest bydlęciem. Wszystkie narody są sobie równe, i wszystkie stanowią ludzkość. O bydlętach też nie trzeba źle sądzić. Wprawdzie Goethe, w przystępie melancholii, myśląc o ludziach, zawołał pewnego razu: „O Gott, wie gross dein Tiergarten ist!" („O Boże, jak wielki jest Twój zwierzyniec!"), ale — po pierwsze, to był Goethe; po drugie, francuskie przysłowie słusznie twierdzi, że: c'est le ton qui fait la chanson": melodia tworzy piosenkę, czyli wszystko zależy od sposobu powiedzenia.

Czytając felieton o bydlętach angielskich, myślałem sobie, czy też ambasada angielska zaprotestuje przeciw podobnie dowcipnemu „szarganiu" dobrego imienia angielskiego? Bo w zeszłym roku miałem taki wypadek, że w jakimś felietonie zakwestionowałem „poziom naukowy" kilku nauczycieli szkoły powszechnej. W jednym z pism ukazał się list do redakcji pod górnym tytułem „W obronie godności nauczyciela", w którym to liście — z szelestem rozdzieranych szat— napiętnował mię jakiś nauczyciel, że krzywdzę nauczycielstwo (oczywista, ryczałtem już), że nie objawiam należytego szacunku dla jego pracy i zasług, i tam dalej. Bo niekiedy my Polacy bywamy przesadnie drażliwi i obraźliwi.

Sądzę, że ambasada angielska nie jest tak drażliwa, jak ów nauczyciel, i jeśli nawet czytała felieton o bydlętach angielskich, uśmiechnie się tylko z poczuciem wyższości. Poczucie wyższości, jeśli je komuś okazujemy, i ten ktoś rozumie to, staje się rzeczą przykrą. Łączy się ono z wielu innymi — powiedziałbym: „imponderabiliami", czyli czynnikami, które są nieuchwytne i delikatne, a przecie częstokroć rozstrzygające w obcowaniu międzyludzkim, i wydają świadectwo temu, co nazywamy kulturą i humanizmem. Poczuciem godności osobistej, szacunek dla godności w każdym innym człowieku, zmysł odpowiedzialności, odwaga cywilna, wzajemne zaufanie, — oto niektóre z tych „imponderabiliów". Odgrywają one również rolę w kształtowaniu się t. zw. pojęć demokratycznych. Wszelako jeden felieton nie może wyczerpać tego złożonego zagadnienia. Jeśli czytelnik pozwoli, pomówimy o nim następnym razem.

Jerzy Wyszomirski



G. H. Shaw, urodził się w Dublinie w lipcu 1856 r. Obecnie w 90-tym roku życia zajęty jesi pisaniem nowej sztuki.

(BRITISH OFFICIAL PHOTO)

BERNARD SHAW • UCZEŃ DIABŁA •

George Bernard Shaw urodził się w Dublinie w lipcu 1856 r. Obecnie w 90 roku życia zajęty jest pisaniem sztuki — komedii w rodzaju „Furgon z jabłkami“ (1929) albo „Genewa“ (1938).

Teatr Wojska Polskiego w Łodzi uczcił 90 rocznicę urodzin wielkiego pisarza angielskiego wystawiając jego sztukę „Uczeń diabła“. Teatry warszawskie zapowiadają wystawienie dwóch sztuk Shaw'a. „Uczeń diabła“ z Damięckim oraz „Bohater i żołnierz“ z Kurnakowiczem w roli głównej. Obie te sztuki stanowią pierwszą część t. zw. cyklu „Plays for Puritans“. Shaw, reformator moralno-społeczny à la Tołstoj, chciał w tym nowym cyklu utworów scenicznych postawić ludziom przed oczy: wybuch wielkich, wysokich, szlachetnych rzutów duszy. Chciał ich zapalić do cnót purytańskich. Dlaczego jednak do sztuki napisanej w 1901 r. obrał Shaw za bohatera „Ucznia djabła“? Źródło tego znajdujemy w protestantyźmie Shaw'a. Przypomnijmy sobie czym jest szatan w tragedii Byrona, w poezjach Beaudelaire'a, w słynnym hymnie Carducciego. Orędownikiem niezadowolonych, nauczycielem wędrowców, „wielkim pokrzywdzonym“, zrehabilitowanym duchem — nie „wiecznego przeczenia“, jak u Göthego — ale duchem, który pragnie podnieść się z upadku.

Uprzytomnijmy sobie również, że Shaw jest zdeklarowanym wyznawcą teorii Schopenhauera, że jest w człowieku jakaś siła, która w decydującym momencie łamie jego charakter, jego, by się tak wyrazić, zewnętrzność i — czyni go dobrym, wielkim, szlachetnym, czyni z bydlęcia istotę stworzoną na obraz i podobieństwo samego Stwórcy. Siłę tę nazywa Schopenhauer: wolą. Otóż bohater sztuki Shaw'a, ów „niezrozumiały“ albo „nie wiedzący sam czego chce“ Ryszard Dudgeon jest właśnie głęboko protestanckim uczniem diabła takiego, jakim go sobie wykoncypował Byron, Carducci i Beaudelaire, a zaś w nim, w Ryszardzie Dudgeonie, przemawia nagle Schopenhauerowska „wola“ lub głos Boży, i sprawia, że ów lichy, marny, buntujący się, prawie opryszkowaty Ryszard zdobywa się nagle na czyn bohaterskiego altruizmu, którego się po nim nikt nie spodziewał. Idzie dobrowolnie, niezasłużenie lecz ochoczo na śmierć, ratując od śmierci pastora Andersona. Zdobywa się na największą cnotę. Przez miłość dla żony pastora — Judyty? Nie, bo gdyby tak było, nie byłby „Uczeń diabła“ sztuką dla purytanów.

„Uczeń diabła“ jest pokazem dramatycznym, jak „czarciego pachołka“ zmógł nagle a potężnie duch miłości nadludzkiej.

Wobec tego — jurny Dudgeon, z altruizmem, przekraczającym chrześcijańskie „kochaj bliźniego“... oddaje własne życie dla ratowania dobrego pastora... Nie, o taką ckliwość nie podejrzewamy Shaw'a chociaż on sam z dobrą miną gromadzi sugestie w kierunku rozwiązania z niedzielnej czytanki. Sam jednak Dudgeon odsłania motywy swego postępowania. Własny czyn bohaterski uzasadnia koniecznością manifestacji patriotycznego ducha oporu wobec wroga: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!

Shaw nie byłby sobą, gdyby w końcu nie zakpił ustami samego bohatera, który w końcu, jakby znużony długą postawą koturnową wyraża opinię, że najbliższym sąsiadem bohaterstwa jest błazeństwo.

Rolę tę doskonale odtwarza Damięcki.

M.B.



Scena z II. aktu sztuki Shawa „Uczeń Diabła“, granej w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi. W roli ucznia diabła — Damięcki, pastora — Hańcza.

Kronika kulturalna

ŁĄCZNOŚĆ kulturalna Polski z Zachodem, przerwana przez wojnę, nie weszła jeszcze po roku wolności — w ten stan ożywienia, jakiego byśmy pragnęli. Pomijamy zrozumiałe trudności komunikacyjne i wyjazdowe oraz związane z nimi kwestie dewiz, walut i t. p. Myślimy o zwyczajnej wymianie literackiej, o ułatwieniach w otrzymywaniu z zagranicy książek i czasopism, które przed wojną zjawiały się w Warszawie niemal tego samego dnia, gdy wyszły w Paryżu czy Londynie. Dziś na pisma francuskie i angielskie trzeba czekać tygodniami, ponadto dochodzą one w nielicznych egzemplarzach i — oczywista — nie wszystkie. Pewną namiastką wiadomości o tym, co się dzieje w życiu kulturalnym Zachodu, stały się specjalne wydawnictwa angielskie i amerykańskie dla Polski („The British Digest — Co pisze Anglia“, „Ameryka“), ale — jak wszelkie wydawnictwa propagandowe—są one dość jednostronne i informują raczej o sprawach gospodarczych, niżli kulturalnych w najszerszym znaczeniu słowa. Nie tylko przeciętny inteligent, ale nawet redakcje naszych pism literackich („Odrodzenie“, „Kuźnica“, Twórczość“) cierpią na brak kontaktu intelektualnego z Zachodem.

Z przyjemnością więc przeczytaliśmy w Nr 28 „Odrodzenia“ wyjątkową rubrykę p. t. „Z prasy angielskiej“. Omówiono w niej dwa zeszyty nowego miesięcznika angielskiego — „Polemics“. Jednakże numer „Odrodzenia“ nosi datę 14 lipca, omawiane zaś w nim zeszyty wyszły w lutym i w marcu. Pięciu miesięcy trzeba było na to, by do redakcji wielkiego tygodnika polskiego dotarło z Londynu pismo, o którym redakcja powiada, że jego pierwszy zeszyt, styczniowy (nie otrzymany) „narobił dużo hałasu w prasie brytyjskiej“. Jak widać z recenzji „Odrodzenia“, mają „Polemics“ następujący „program kulturalny“: „propagowanie wszelkiej swobodnie się wypowiadającej myśli, wbrew tendencjom autorytatywności, dziś na świecie powszechnym“, tudzież krytykę nowozrodzonych tendencji romantyzujących“ wraz „z socjologiczną próbą rewizji ortodoksyjnego marksizmu“. „Polemics“ tedy chce być rzeczywiście pismem polemicznym.

NIEBOSZCZYKOM spokój daj! — śpiewało się w jakiejś starej piosence kabaretowej. Przypomniał się ten refren po przeczytaniu artykułu jednego z poetów naszych, który, omawiając znaczenie wrocławskiego zjazdu kulturalnego, podjął na nowo (przedwojennym śladem J. N. Millera) walkę z „Panem Tadeuszem“. Poeta zarzuca epopei mickiewiczowskiej, że jest dziełem „apoteozującym szlachtę i jej nietwórczą rolę, oraz „nieprodukcyjny, jałowy, konsumpcyjny styl życia“. Ten stary styl — dowodzi poeta — winien dziś ustąpić nowemu stylowi i nowym formom, wykuwającym „świat pracy“. Słuszne to, ani słowa. Ale czy podobna walczyć na przykład z „Odysseją“ przedstawiającą pierwotny stan Greków, z „Hermanem i Dorotą“, gdzie znalazła swój wyraz „mieszczańskość niemiecka, albo z „Eugeniuszem Oneginem“, w którym Puszkin zobrazował próżniacze, jałowe, nieprodukcyjne życie wyższych — wielkopańskich — („barskich“) sfer rosyjskich? Arcydzieła poezji światowej pozostają arcydziełami na wieki. „Onegin“ naprzykład wydawany jest dziś w Związku Radzieckim we wszystkich jego językach i w milionowych nakładach, u nas zaś — równocześnie ze zjazdem wrocławskim — ukazuje się w „Odrodzeniu“ w mistrzowskim tłumaczeniu Tuwima. W rozdziale drugim „Onegina“ („Odrodzenie“ Nr 27) czytamy właśnie opis dworu „pomieszczyka“: „Dwór zbudowany był na modłę tradycji mądrej: trwały mur, solidne wszystko i czcigodne, dla innych zamków istny wzór; wysokich komnat amfilada, portrety dziada i pradziada...! Czy to nie brzmi bardziej jeszcze „apoteozująco“, niż „Pan Tadeusz“? Zamiast zajmować najłatwiejsze — bo negatywne stanowisko wobec pomników wielkiej poezji, należałoby tworzyć wartości pozytywne: pisać wspaniałe epos dzisiejszej rzeczywistości. Albowiem, jak powiedział poeta: „Każda epoka ma swe własne cele i zapomina o wczorajszych snach“.

St. Łatka

ROZMOWA O PROPAGANDZIE

JAN: Rzecz sama w sobie jest stara jak świat. Zawsze rozpowszechniano jakieś prawdy. Robiono to na zimno lub z żarem w sercu. Apostołowie zarabiali na prawdach, ale umieli także za nie umierać.

PAWEŁ: Mówisz: rzecz sama w sobie. Ale ta „rzecz“ uległa dewaluacji! W wieku prasy, radia i filmu propagandę prowadzą państwa, koncerny, związki, nie żałując środków i nie przebierając w nich. Fale propagandy krzyżują się i wywołują mętlik. Napastowany obywatel opiera się, i ja mu się nie dziwię. Obywatel jest zmęczony, chce mieć spokój. Inflancja haseł propagandowych nie pozwala nieraz odróżnić rzeczy ważnych od błahostek. Czyż nie jest tak?

JAN: Było tak! Twoje zastrzeżenia w naszych polskich warunkach czego dotyczą? Nie rzeczy samej w sobie, bo przecież ciągle są nowe prawdy, które należy propagować. Zastrzeżenia dotyczą terminu, słowa. Słowo „propaganda“ po 6-ciu latach działalności szmatławców i szczekaczek Goebbelsa — nie cieszy się w narodzie sympatią. Ale...

PAWEŁ: Dobrze, że to stwierdzasz. Ale przecież z tego trzeba wyciągnąć praktyczne wnioski!

JAN: Jakie?

PAWEŁ: Według mego zdania takie: po pierwsze należy uczynić propagandę bardziej dyskretną.

JAN: Żeby działała łagodnie, nie przerywając snu?

PAWEŁ: Nie żartuj. Problem „opakowania“ nie jest błahy. Spytaj speców od handlu. Słowa, które obywatela drażni, należy unikać. Najlepiej skreślić je z urzędowych szyldów, przede wszystkim z szyldu Ministerstwa Informacji.

JAN: Przypisujesz taką wagę szyldom?

PAWEŁ: Ogromną. Ale nie tylko to jest ważne. Chodzi w ogóle o skuteczność propagandy. Cóż za korzyść z powodzi haseł, afiszów i sloganów, jeśli one nikogo nie przekonywują?

JAN: Zasady skuteczności nikt chyba nie kwestionuje.

PAWEŁ: W teorii. W praktyce działalność propagandystów często przypomina sztukę dla sztuki, popis bez publiczności. Kosztowne to i zbędne. Żeby hasła, rzucane w tłum, były skuteczne, muszą odpowiadać pewnym warunkom.

JAN: Słucham.

PAWEŁ: Muszą być wymowne, nacechowane znajomością psychiki odbiorcy i muszą być strawne, przyjemnie podane. Jakie masz zastrzeżenia?

JAN: Narazie nie mam.

PAWEŁ: Powiedzmy, że mamy jakieś hasło słuszne, ale mało popularne. Bezpośrednim celem propagandy będzie tu przezwyciężenie oporu odbiorcy, wywołanie dla danego problemu zainteresowania, dalej — przekonanie o skuteczności hasła, wreszcie — zdobycie dlań spontanicznych propagatorów w kręgu rodziny, warsztatu pracy, stowarzyszenia.

JAN: Powiadasz: „cel bezpośredni“. A jakież są inne cele?

PAWEŁ? Propaganda posługuje się bogatym arsenałem narzędzi. Niektóre z nich: plakat, film przedstawienie teatralne, udekorowane miasto, — to narzędzia artysty. Można tu kształcić smak odbiorcy, oduczać go wulgarności, i można jej schlebiać. Plakat np. jest dzisiaj pierwszą wizytą grafika w świetlicy, w domu robotniczym, w fabryce. Jeśli, wizyta jest udana, ileż na tym wygra hasło upowszechnienia sztuki.

JAN: W tym wszystkim najsłuszniejsze wydaje się to, co mówiłeś o znajomości psychiki odbiorcy.

PAWEŁ: Bo też to sprawa najważniejsza. Jaki jest ten nasz szary obywatel?

JAN: Nieufny.

PAWEŁ: Nieufny, bo zdemoralizowany wojenna „lipa“, prócz tego niecierpliwy.

JAN: I przekorny.

PAWEŁ: I dodajmy, choć to smutne, niezbyt kulturalny. Te wszystkie cechy, w oparciu o znane prawa psychologii i socjologii należy gdzieś spokojnie zanalizować, zważyć. I działać na nie propagandą odmierzoną jak lekarstwo, skuteczną i przemyślaną.

JAN: Mówisz — gdzieś. Gdzie?

PAWEŁ: Zalecenie i recepty winny płynąć z jednego ośrodka. Inaczej gorliwość urzędników w terenie, niewyrobionych jak i sam odbiorca może robotę zepsuć, zamienić propagandę na anty-propagandę.

JAN: Słyszałem w grudniu ub r., że w Ministerstwie Informacji powstało, czy miało powstać specjalne dla tych spraw Biuro Studiów. Masz więc ten twój ośrodek dyspozycyjny.

Paweł: Słyszałem i ja. Niestety, do tej pory wyraźniejszych śladów pracy tego biura nie spostrzegam. Bo powiedzmy sobie otwarcie: propaganda jest u nas niezgrabna.

JAN: Po pierwsze przesadzasz; po drugie— nie od razu Kraków zbudowano; uczymy się, zdobywamy doświadczenie. Weźmy sprawę referendum.

PAWEŁ: Doskonale, weźmy sprawę referendum! Zaryzykuję twierdzenie, że ilość głosów „nie“ na pierwsze pytanie, byłaby o wiele mniejsza, gdyby nie propagandowe gaffy.

JAN: Twierdzenie rzeczywiście ryzykowne.

PAWEŁ: Weź taką broszurkę pt. „Tak czy nie?“ Były tam piosenki o referendum, jedna na melodię ‚Pan generał“, druga na melodię „Siekiera, motyka“! Toż to jaskrawy przykład trafiania kulą w płot! Proszę, zaśpiewajmy:

„Siekiera, motyka, referendum
„W referendum nie ma błędu,
„W referendum jest jeden znak,
„A ten znak trzy razy „tak“!

JAN: (śmieje się)

PAWEŁ: A teraz uwaga, finał na chór, już zupełnie nieporównany:

„Co wywalczym to dla mas,
„Bo za sto lat nie będzie nas!“

JAN: Zapominasz, że broszura była przeznaczona dla wsi!

PAWEŁ: Tym gorzej! Wyobrażam sobie jej „propagandowe“ skutki właśnie na wsi!... Powołuję się na głos „Dziennika Ludowego“ który zapewne wieś zna, i który także krzyczał gwałtu z powodu tej broszury.

JAN: Wszystko to błahostki. Agitacja wyborcza operuje głównie rozumowaniem, i argumenty rzeczowe są najważniejsze.

PAWEŁ: Argumenty rzeczowe w końcu się wyczerpują, i wtedy walczy się dowcipem! Dowcip, śmiech jest wspaniałą bronią. Właśnie dowcip „bierze“ obywateli przekornych. A ileż było plakatów i haseł niezręcznych, wręcz niesmacznych? Zagadnienie umiaru... Nie mamy go! Przykładem niektóre akademie i t. zw. „masówki“.

JAN: Należałoby wynaleźć lepsze określenie. Masówka brzmi ohydnie.

PAWEŁ: I słowo i jego treść wymaga rewizji. Ileż przy takiej okazji nie krasomówstwa, ale zwykłego gadulstwa, wywołującego u słuchaczy nudę. Czytasz wiele gazet?

JAN: Mało.

PAWEŁ: A ja prawie wszystkie. I sam na sobie sprawdzam, jak pod wpływem artykułów rozsądnych, pisanych z umiarem — staje się przychylny i pełen troski dla spraw mało mi znanych i dalekich. Jak znowu — pod wpływem ciężkich frazesów — staję się nieufny i zmęczony.

JAN: Ignorancja, która zawsze i wszędzie spotykasz.

PAWEŁ: Ileż to wprowadza zadrażnień i krzywdy zgoła niepotrzebnej. Dlatego właśnie wołam o umiar. Propaganda jest potrzebna, ale jest to narzędzie bardzo delikatne! Nie daj Boże utożsamić go z kłonicą! Pałką można potłuc garnki, nawet głowy, ale do rozumu ani do serca pałką nie trafisz. A chyba to jest właśnie zadanie każdej propagandy?

JAN: Czasy są ostre i wypełnione walką. Daruj, ale po ludzku rzecz biorąc — nie można chyba tego uniknąć.

PAWEŁ: Trzeba w takim razie być dokładnym w adresach! Zgoda na ciosy mocne, nawet na nokauty; nie ma zgody na pranie w ciemnościach, kiedy nie wiadomo kto kogo bije. A tak właśnie nieraz bywa w naszych sporach i dyskusjach.

Antoni Bohdziewicz

Nie ma już getta w Warszawie

Rozpoczynamy druk znalezionego w Niemczech dokumentu historycznego, jakim jest osobisty raport dowódcy S.S. i policji na dystrykt warszawski Stroopa.



Pożar getta w Warszawie.

W Niemczech znaleziony został dokument, który nosi tytuł: „Nie ma już dzielnicy żydowskiej w Warszawie". Autorem tego doniosłego elaboratu jest, ni mniej ni więcej, tylko sam dowódca S. S. i policji na dystrykt warszawski — Stroop.

Generał major policji Stroop został mianowany na to stanowisko w kwietniu 1943 r., jako człowiek twardej ręki, bezwzględny i bezlitosny w przeprowadzaniu zbrodniczych planów Himmlera w krajach okupowanych. Wystarczy przypomnieć, że Stroopa przysłano do Warszawy w przeddzień ostatecznej likwidacji getta, że dowodził policją w okresie egzekucji publicznych na ulicach stolicy, a zastąpił go, na krótko zresztą, większy jeszcze od niego oprawca i zaufany Himmlera — gen. Kutschera.

Stroop stanął w Warszawie 17 kwietnia 1943 r. i w dwa dni później podjął wielką akcję likwidacji resztek żydów, ocalałych z poprzednich pogromów i zamkniętych w murach dzielnicy północnej miasta, — akcję, która nieoczekiwanie dla jej inicjatorów zamieniła się w tłumienie powstania żydów, i trwała zamiast trzech dni cały miesiąc. Dopiero dn. 16-go maja udało się Stroopowi odnieść „zwycięstwo". Jeszcze tego samego dnia wystosował do Himmlera obszerny raport z „placu boju".

Obecnie Stroop znajduje się w rękach amerykańskich, władze polskie wystąpiły o wydanie go Polsce.

Es gibt keinen jüdischen Wohnbezirk in Warschau mehr.

Taki tytuł nosi tajny raport Stroopa do Himmlera, datowany z Warszawy dn. 16 maja 1943 r., którego tłumaczenie w obszernych wyjątkach oddajemy naszym czytelnikom.

I

„W lecie 1940 r. sprawa utworzenia w Warszawie dzielnicy żydowskiej stała się coraz bardziej paląca, gdyż po ukończeniu kampanii francuskiej w Dystrykcie warszawskim koncentrowano coraz większe ilości wojska. Ze względu na konieczność utrzymania stanu zdrowotnego wojska niemieckiego i ludności cywilnej, Wydział Zdrowia położył specjalnie mocny nacisk na konieczność utworzenia oddzielnej dzielnicy mieszkalnej dla Żydów. Przewidziano w lutym 1940 r. utworzenie dzielnicy żydowskiej na Pradze, uwzględniając przesiedlenie około 500.000 ludzi, co potrwałoby conajmniej 4 — 5 miesięcy. Ponieważ doświadczenia wykazały(?), że epidemie wybuchały dość często i w miesiącach zimowych, na podstawie opinii lekarza wojewódzkiego akcja przesiedleńcza musiała być przeprowadzona najpóźniej do 15.XI.40 r. Z tego powodu projekt utworzenia getta na Pradze upadł, a wybrano przewidzianą już w mieście dzielnicę, zagrożoną epidemiami. W październiku 1940 r., polecił gubernator pełnomocnikowi szefa okręgu na miasto Warszawę utworzenia w Warszawie dzielnicy żydowskiej i przeprowadzenie koniecznej akcji przesiedleńczej do dnia 15.XI.1940 r.

„Tak stworzona dzielnica została zamieszkana przez 400.000 Żydów. Dzielnica ta obejmowała 27.000 mieszkań, zawierających przeciętnie 2,5 pokojów. Została ona od reszty miasta oddzielona murami pożarowymi i murami odgradzającymi przez zamurowanie wylotów ulic, okien, drzwi i luk budowlanych".



Jedna z bram prowadzących do getta warszawskiego.



„Niemieccy bohaterzy"

II

„Wkrótce okazało się, że pomimo tego skupienia Żydów nie wszystkie niebezpieczeństwa zostały zażegnane. Stan bezpieczeństwa wymagał, ażeby Żydów zupełnie usunąć z obrębu Warszawy. Pierwsze wielkie wysiedlenie odbyło się w czasie od 22.VII—do 3.X.1942 r. Wysiedlono wtenczas 310.322 Żydów. W styczniu 1943 r. nastąpiła ponowna akcja przesiedleńcza, która objęła ogółem 6.500 Żydów".

„W czasie pobytu reichsführera SS w Warszawie w styczniu 1943 r. wydał on rozkaz dowódcy SS i policji okręgu warszawskiego przeniesienia całego przemysłu zbrojeniowego i wojennego, znajdującego się na terenie getta, razem z robotnikami i maszynami do Lublina. Wykonanie tego rozkazu nastręczało trudności, gdyż kierownicy tych przedsiębiorstw oraz Żydzi, z różnych przyczyn opierali się temu przeniesieniu. Wobec tego dowódca SS i policji postanowił przeprowadzić przeniesienie przedsiębiorstw w wielkiej trzydniowej akcji. Przygotowanie i rozkaz do tej akcji przesiedleńczej wydał mój poprzednik. Ja sam przybyłem do Warszawy dnia 17.IV.1943 r. o godz. 8-ej rano, jakkolwiek już tego dnia o godz. 6-ej rozpoczęła się akcja. Przed rozpoczęciem jej granice dzielnicy żydowskiej zostały szczelnie zamknięte, celem uniemożliwienia Żydom ucieczki. Obstawienie dzielnicy trwało od początku do końca akcji, a nocami było jeszcze wzmocnione".

„Przy pierwszym wtargnięciu do getta, udało się Żydom i bandytom polskim przygotowanym z góry przeciwnatarciem zbrojnym odeprzeć oddziały niemieckie, wyposażone w czołgi i samochody pancerne. Przy drugim natarciu o godz. 8-ej skierowałem siły na z góry wskazane pozycje, dla zbrojnego przełamania oporu getta. Mimo powtórzenie przeciwnatarcia, udało się kompleksy budynków planowo opanować.

Wróg został zmuszony do wycofania się z dachów i przygotowanych stanowisk do piwnic, bunkrów i kanałów. Aby zapobiec ucieczce do kanałów sieć kanalizacyjna w dzielnicy żydowskiej została zalana wodą, co jednak okazało się iluzoryczne, gdyż Żydzi w większości wypadków wysadzili zapory kanalizacyjne w powietrze. Wieczorem pierwszego dnia napotkano na większy opór, który został szybko przełamany przez specjalnie przeznaczoną grupę bojową".

„W toku dalszej akcji bojowej udało się przepędzić Żydów z przygotowanych przez nich punktów oporu, rowów strzeleckich i t.d. i w ciągu dni 20 i 21 kwietnia opanować większą część pozostałego getta tak, że o większym i skuteczniejszym oporze w tym kompleksie zabudowań nie mogło być mowy".

dalszy ciąg nastąpi.

Gdynia — stolica rybacka

Gdynia, w lipcu.

Gdynia zaczyna coraz wyraźniej nabierać charakteru bazy rybołówstwa dalekomorskiego w najszerszym ujęciu.

I tak — oprócz przeprowadzanych już stąd połowów dalekomorskich — rozpocznie się wkrótce szkolenie dalekomorskich rybaków.

Szkoła Rybaków Dalekomorskich, która będzie uruchomiona na jesieni — posiada program 9-miesięcznej nauki oraz 3-mies. pływania szkolnego. Program nauki wypełniony będzie intensywnie zajęciami przez 7 godzin dziennie. Obejmuje on meteorologię, oceanografię, nawigację, geometrię, sygnalizację i in. Z zakresu samego rybactwa—morfologię i ichtiologię jako podstawy teoretyczne; sieciarstwo i wiele innych fachowych przedmiotów—w zakresie praktycznym. Ponadto — elementarne wiadomości z dziedziny mechaniki i przedmioty ogólnokształcące.



Szkoła ma otrzymać wkrótce 2 rybackie trawlery szkolne, po które wyjeżdża do Anglii Inspektor Szkoły kpt. Żebrowski.

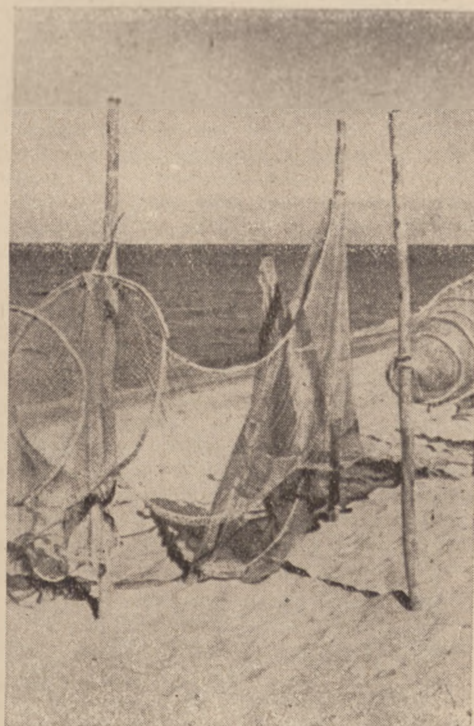
Będą one odbywać rejsy połowowe, zabierając na pokładzie po 11 ludzi załogi oraz 20 kadetów, którzy nabywać będą wiedzę rybacką doświadczalnie. Jeden rejs szkolny trwać będzie do 1 miesiąca.

Nie tylko szkolny tabor rybacki zawinie do Gdyni.

Oto Przedsiębiorstwo Połowów Dalekomorskich „Dalmor" zawiera z angielską firmą umowę równie oryginalną jak korzystną. Przyjmie bowiem od Anglików stare trawlery do przeróbki z trawlerów wojskowych — z powrotem na rybackie. Za każdy zaś trawler przerobiony—otrzymywać będzie analogiczny statek nieprzerobiony na własność. Przeróbki trawlerów „Dalmor" zleci Zjednoczeniu Stoczni Polskich.

Tak pomyślane transakcje zapewnią naszym stoczniom nowe zamówienia, „Dalmorowi" tanie powiększenie taboru dalekomorskiego, a Krajowi zaoszczędzi dewiz — gdyż za swe trawlery Anglicy otrzymywać od nas będą nie funty, lecz sprzęt t. j. swoje własne trawlery po ich przeróbce. Za koszty remontu tych statków „Dalmor" będzie się rozliczać oczywiście ze Zjednoczeniem Stoczni Polskich.

Zdobyte w ten sposób trawlery zwiększą połowy, z których zbyciem „Dalmor" zdaje się nie będzie już miał trudności.



Ostatnio bowiem szczęśliwie przełamał on swe trudności na tym polu. Łowiąc coraz więcej (ostatni rekord połowu: 1 kuter jednorazowo złowił 10,5 ton ryby!) „Dalmor" potrafił wysłać w jednym tygodniu 60 ton ryb na Śląsk, do Krakowa i do Bydgoszczy — koleją i samochodami.

Nareszcie więc rynek nabiera zainteresowania rybą — od mięsa przecież tańszą i zdrowszą.

Ta garść faktów — już pozwala przypuszczać, że wkrótce Gdynia stanie się prawdziwą „stolicą" rybacką Rzeczypospolitej.

T. R.

WYBRZEŻE ODDYCHA ŚWIEŻOŚCIĄ

Wybrzeże nasze obejmuje dziś znaczną przestrzeń długości pięciuset kilometrów, i na tej przestrzeni leży siedemnaście ważniejszych miast morskich — w następującym porządku, od zachodu licząc: Świnoujście, Warpno Nowe, Police, Szczecin, Wołyń (na wyspie przy



Przekazanie przez Z. S. R. R. Polsce jednostek marynarki wojennej w basenie Prezydenta w Gdyni.

ujściu Odry), Kamień, Kołobrzeg, Derłów, Postomin, Łeba, Puck, Gdynia, Sopot, Gdańsk, Elbląg, Tolkmicko i Frombrok. Jednakże, jak dotychczas, ośrodkiem i nerwem naszego życia morskiego pozostają po dawnemu Gdynia i Gdańsk, z tego zapewne powodu, że wiążą się z systematem gospodarczym i komunikacyjnym Wisły. Niezadługo, po uporządkowaniu różnych spraw politycznych i ekonomicznych, podobną, co one, rolę pocznie odgrywać Szczecin ze swym kompleksem mniejszych miast morskich — jako port, zamykający system Odry. Na razie w dniu Święta Morza widzimy, jak nasza miłość do morza i nasze morskie tęsknoty ujawniają się w pięknych manifestacjach na starym miejscu: pomiędzy Gdynią, Sopotem, Oliwą i Gdańskiem.

Byłem tu na tydzień przed właściwym Świętem Morza, a już cały ten brzeg rozkołysany był oczekiwaniem. W Sopocie już odbywał się „Karnawał Morski", do którego nawoływały obywateli wielkie afisze, rozlepione w Gdyni i w Gdańsku. Grzmiała tam orkiestra marynarki wojennej, w słoneczne popołudnie defilowały po gorącej plaży śliczne kobiety, prezentując ostatnie mody — „w opracowaniu" (jak głosił afisz) „warszawskiej graficzki Jadwigi Żylińskiej"; poczym płynął po świetlistym morzu „Korowód flotylli rybackiej z konkursem (?) na najefektowniej udekorowaną łódź" (tak głosił afisz); wreszcie zaczęły się dziać rzeczy bardziej namiętne: gdy na wybrzeże zstąpiła upalna noc lipcowa, łechcąca zmysły, w powodzi „barwnych ogni sztucznych", rozdzierających ciemne niebo, ukazała się oczom rzesz para monarsza: „królowa piosenki" (tak głosił afisz) — niezrównana Hanka Brzezińska, i „król parodii" (tak głosił afisz) — bezkonkurencyjny Karol Hanusz.

Gdy się oni tak po królewsku bawili, ja szukałem p. Delegata Rządu do Spraw Wybrzeża inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego. Chciałem jako wysłannik „Tygodnia" uprosić go o okolicznościowy artykuł dla naszego pisma. Delegat urzęduje w Gdańsku, w jednym z gmachów wojewódzkich. Na tle gruzów Gdańska ten zakątek czaruje wędrowca tak, jak oaza na pustyni. Wielkie czerwone budynki wznoszą się okazale, a rozległy plac przed nimi oczyszcza i porządkuje tłum t. zw. szkopów. W poczekalni u Delegata ścisk. Jego osobista sekretarka, bardzo przystojna, postawna, wytworna i ujmująca pani w balzakowskim wieku, nie odchodzi od telefonu: widać, że praca tu wre.

— Hallo! — woła: — Hallo! Czy Hotel Morski? W tej chwili pan minister przyjmuje na audiencji wycieczkę dziennikarzy szwajcarskich. Po ukończonej audiencji wycieczka odjedzie do hotelu. Prosimy o przygotowanie śniadania zgodnie z ustalonym programem... Tak jest, audiencja już się kończy. Prosimy o pośpiech...

Siedząc w kąciku poczekalni, byłem nieco demokratycznie przestraszony. Tam — królowa i król, tu — trzykrotnie powtórzona „audiencja". Nie wiedziałem, jaki zachować ceremoniał i etykietę.

— Czy mógłbym i ja prosić o audiencję u pana ministra? — zapytałem skromnie, okazując swoją legitymację prasową: — Chciałbym się zwrócić o maleńki artykuł...

Sekretarka zniknęła za drzwiami gabinetu i po chwili oświadczyła mi z uroczym uśmiechem:

— Pan minister przeprasza, ale ma już zamówionych na Święto Morza dwadzieścia artykułów...

Fiijuu — gwizdnąłem w duszy: bagatela! Dwadzieścia artykułów! A ja się chciałem pchać z prośbą o dwudziesty pierwszy. Więc podziękowawszy grzecznie, poszedłem z polecenia sekretarki do zastępcy Delegata — p. Kazimierza Strzegockiego, który mi udzielił żądanych wyjaśnień, a potem skierował do naczelnika Wydziału Statystyczno-Prasowego, p. Skotnickiego. Delegatura do Spraw Wybrzeża pracuje rzeczywiście w sposób wytężony i owocny. Cała akcja odbudowy i zagospodarowania Wybrzeża podlega jej kompetencji. Gdym otrzymał w Wydziale Prasowym ostatnie miesięczne sprawozdanie Delegatury, liczące 30 kart maszynopisu, zrozumiałem, jak niewczesny był mój pomysł zabierania czasu Kwiatkowskiemu. Jest to zapewne jeden z najbardziej pracowitych i umiejących pracować ludzi w Polsce. Odbudowa portów, urządzenia przeładunkowe, sprawy komunikacji, elektryfikacja Wybrzeża, rybołówstwo, przemysł morski, odbudowa miast, żegluga, handel, osadnictwo na Wybrzeżu — nie ma dopprawdy takiej gałęzi skomplikowanego życia morskiego, w któryby nie miał wglądu inż. Kwiatkowski.

Wędrując po Wybrzeżu, między Gdańskiem a Gdynią, nie mogłem się nadziwić intensywności tutejszego życia. Byłem tu ostatni raz na parę lat przed wojną. Jeśli się zapomni o ruinach Gdańska, jeśli się nie patrzy na zniszczenie w portach, usuwane zresztą możliwie najszybciej — możnaby mniemać, że wojny tu nie było, zwłaszcza w Sopocie i w Gdyni. W Sopocie wir letników i turystów, panie w plaszczach kąpielowych, gwar rozbawionych dzieci, kawiarnie, werandy, oranżady, lody, alkohole. Dokoła tego mieniące się i szumiące morze, ponad tym słońce, a na wszystkich twarzach jak gdyby radość użycia, która niezmożenie dochodzi do głosu po wojnie. Zapewne poza tym słonecznym obrazem kryją się ludzkie troski i zmartwienia, ale tego na pierwszy rzut oka nie widać. Gdynia jest świeża, czysta, elegancka i niezwykle uprzejma. Nie widziałem, żeby się ludzie popychali w autobusach, natomiast stwierdziłem, że nie masz w Gdyni marynarza, który by nie czekał, za nim wszystkie kobiety nie wsiądą do autobusu i dopiero wówczas on — marynarz — wejdzie, ustępując jeszcze miejsca starszym cywilom. Równie uprzejme i cierpliwe są konduktorki, choć tłok w autobusach i trolleybusach, bo turyści wciąż napływają. Na ulicach Gdyni ruch pieszych, jak przed wojną, i wzdłuż ulicy Świętojańskiej lśnią, jak przed wojną, witryny sklepowe. Widzi się tu cudzoziemców, i ich postacie przywodzą na pamięć owe czasy, kiedy Gdynia była zgiełkliwym miastem międzynarodowym. Z serdecznością i przyjaźnią patrzymy na wysmukłych Szwedów, jak w mundurach Czerwonego Krzyża spacerują — pełni rycerskości, — z roześmianymi gdyniankami . Narody się znów zbliżają i bratają — myślimy. W dzielnicach przyportowych życie rozkwita po dawnemu: marynarze duńscy ciągną poważnie piwo, a gwałtowniejsi od nich Belgowie urżnęli się dokumentnie i leżą pod stołem, niepomni, że statek ich ma odejść za dziesięć minut. Co to będzie za chryja, Boże drogi!

Spotykam dawnych, przedwojennych znajomych gdynian i w rozmowie z nimi cieszę się, że Gdynia jest taka sama.

— Nie jest tak sielankowo, jak pan myśli — powiadają mi: — jest i spekulacja, są nadużycia, brak mieszkań, był i jest jeszcze szaber. I to jaki! Ktoś usiłował nawet wywieźć morzem ogromną barkę pianin i fortepianów, paręset bodaj sztuk. Ale gdzieś tam przy brzegu zostawił. Pianina mokły na deszczu i pękały na słońcu. Diabli wzięli!

— Tym mi pan nie zaimponuje — odpowiadam:—gdzieindziej w Polsce odwalają grubsze kawały. Ale to przeminie. Będzie dobrze.

Rozpytuję o Gdynię w okupacji. My, cośmy przebyli ten czas w Warszawie, niewiele żeśmy wiedzieli o Pomorzu. Myśleliśmy naprzykład, że Polaków prawie tu nie było: albo ich Niemcy wysiedlili do obozów, albo zamienili w „volksdeutsch" i eingedeutsch". Tych ostatnich — z różnych powodów — musiało być sporo. Biorę „Zrzesz Kaszebsko" — „pismo ludu kaszubskiego" — wychodzące w Wejcherowie, numer wtorkowy z dnia 16 lipca 1946 r., i na ostatniej stronie znajduję 23 ogłoszenia, unieważniające zgubione „zaświadczenia rehabilitacyjne". Oto roztargnieni rodacy, co jednego dnia gubią 23 rehabilitacje, co wydali Derdowskiego i podśpiewywali sobie: Nima Kaszeb bez Polonii i bez Polści.

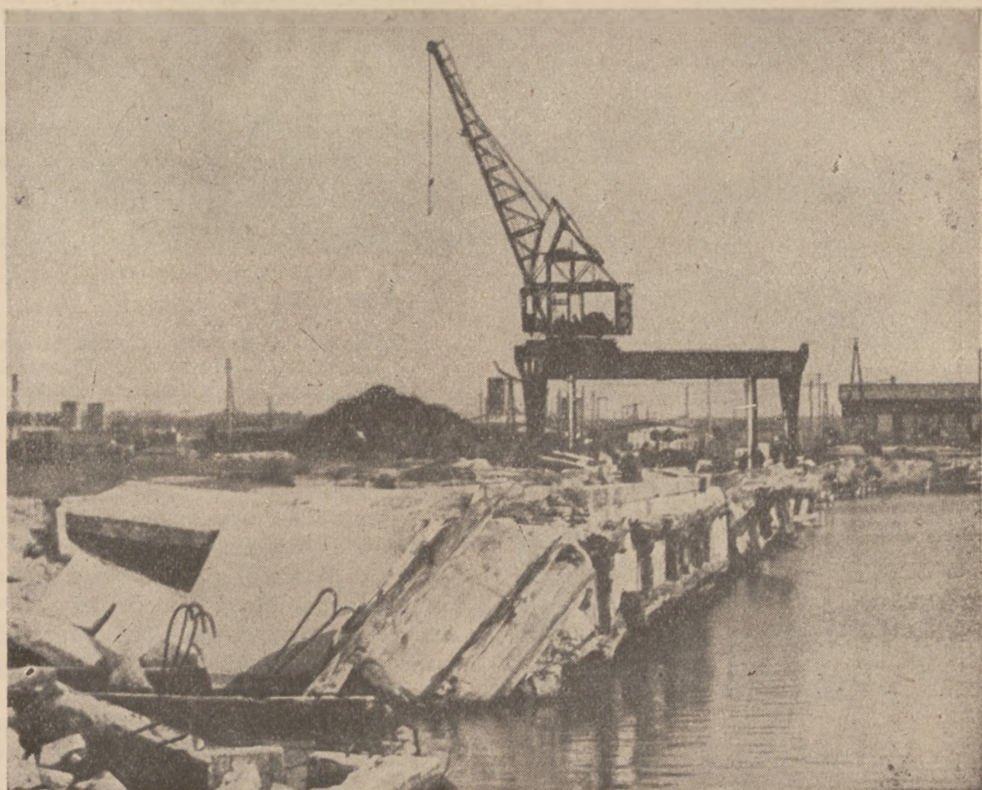
Wszelako wielu bohaterskich patriotów przetrwało w Gdyni wojnę, wielu polskość swoją przypieczętowało krwią. Działał tu 5-ty korpus A. K. Działali harcerze. Jednego z nich, Edmunda Śmierzchalskiego, mam możność poznać. Przebył całą okupację w Gdyni jako jeden z członków komendy T.H.H. czyli „Tajnego Hufca Harcerskiego". Hufiec był utworzony w r. 1940 przez nauczyciela Podhorożyńskiego, zamęczonego w r. 1942 w Stutthofie. Oprócz drużyny chłopców miał i drużynę dziewcząt — „samarytanek" — na której czele stała Janina Czaplewska, po dziś dzień w dobrym zdrowiu pracująca w Gdyni. Hufiec zrobił bardzo dużo. W r. 1943 wykradł Niemcom plany portu i umocnień miasta i dostarczy' ich dowództwu 5-go korpusu A. K., który



Żaglowiec duński z transportem ryb w porcie Gdyńskim.

dzięki temu mógł je przekazać do Anglii. Dwa celne i niezawodne bombardowania Gdyni przez RAF w r. 1943 i 1944 były następstwem tego czynu harcerskiego. Oprócz najrozmaitszych sabotaży, Hufiec z początkiem r. 1945 dokonał planów obwarowań Gdyni i za pośrednictwem łącznika między AK i THH — Kaczmarka, przesłał te plany 167-mej dywizji kontrwywiadu radzieckiego: umożliwiło to szybkie przerwanie linii obronnej Niemców i uchroniło Gdynię od takiego zniszczenia, jakiemu uległ Gdańsk. Niektórzy z owych bohaterów będą dekorowani podczas Święta Morza. Rozmaicie więc bywało w Gdyni — jak wszędzie w Polsce, jak na całym świecie, jak w duszach ludzkich, gdzie małość sąsiaduje z wielkością, ofiara z interesem, strach z odwagą i miłość z egoizmem. Lecz mnie się wydało — w słońcu lipcowym, w nastroju świątecznym Wybrzeża, w powiewach wiatru morskiego — że Wybrzeże tchnie przede wszystkim świeżością, a świeżość zwiastuje odrodzenie się i siłę.

J. W.



Basen Prezydenta — nadbrzeże wysadzone przez Niemców — obecnie w tym stanie.

Wiadomości z Wybrzeża

26 BAREK i 8 holowników posiada „Polska Żegluga na Odrze" Sp. z o. o. W maju i w czerwcu przewiozła ona Odrą pierwsze transporty węgla do Szczecina w ilości 2.118 ton.

●

WYNIKI połowów naszych na Bałtyku (na dorsze, płastugi, śledzie i szproty) w ostatnich miesiącach są następujące: w marcu 1.419.945 kg. wartości 35 milionów zł.; w kwietniu — 1.638.553 kg. wartości 49 milionów zł. i w maju — 2.369.832 kg., wartości 60 milionów zł.

●

WAŻNYM zagadnieniem w rozwoju naszego rybołówstwa morskiego jest szkolenie nowych sił zawodowych. W organizacji znajduje się Szkoła Rybołówstwa Dalekomorskiego. Dla celów szkoleniowych UNRRA zakupuje dwa statki rybackie, które mają przybyć do Polski w połowie sierpnia r. b.

●

PRZEŁADUNKI w portach Gdańsk—Gdynia wykazują silną tendencję zwyżkową. Tak, w ciągu całego roku 1945 (od chwili wyzwolenia) eksport i import łącznie wyrażał się liczbą 917 tysięcy ton. W ostatnich zaś miesiącach r. b. cyfry są następujące: w kwietniu import — 258,7 tysięcy ton, eksport — 391,8 tysięcy; razem: 650,5 tysięcy ton; w maju: 261,3 tysiące i 514,4 tysięcy; w sumie: 775,7 tysięcy ton.

●

KAPITALNY remont dwóch domów robotniczych (mogących pomieścić 24 rodziny) między Oliwą a Sopotem, jest na ukończeniu. Jeszcze zapewne w ciągu lata znajdzie tu wygodne mieszkanie kilkadziesiąt osób.

●

„MIĘDZYKOMUNALNE Zakłady Komunikacyjne Gdańk — Gdynia" (MZKGG) mają na swych liniach 28 autobusów, kursujących na trasach: Gdańsk — Gdynia, Gdynia — Oksywie, Gdynia — Chylonia i Wrzeszcz — Siedlice. W maju przewiozły one przeszło 700 tys. pasażerów, czyli o 22% więcej niż w kwietniu. Ruch tedy jest duży. Znaczny jego wzrost pozostaje w związku z okresem letniej turystyki i urlopów.

●

NIEZMIERNIE ważny komunikacyjnie most objazdowy przez Nogat w Malborku jest w odbudowie. Tak samo most na drodze Gniew—Skorcz. Układa się kilka pomniejszych mostów drewnianych (w Łupowie i Rosocinie, w Podkładach i t. d.), celem najszybszego przywrócenia normalnej komunikacji kołowej na tych terenach.

●

W SZCZECINIE przejęły ostatnio władze polskie od władz radzieckich nabrzeże nad Starówką dla wyładunku bydła, wymontowana fabrykę papieru oraz elewator zbożowy. Na skutek uszkodzeń elewator wykorzystany będzie jako magazyn na drobnicę. Przejęte poprzednio trzy stacje zbiornikowe dla produktów naftowych są w remoncie, i w ciągu lipca będą całkowicie gotowe.

PO OTWARCIU MOSTU IM. KS. J. PONIATOWSKIEGO W WARSZAWIE



Delegacja młodzieży jugosłowiańskiej ze sztandarem w czasie defilady, podczas uroczystości otwarcia mostu Poniatowskiego



Pierwszy tramwaj ofiarowany przez m. Wrocław Warszawie wjeżdża na most Poniatowskiego

Pierwsi polegli...

Krótkie były urlopy niemieckich lotników legionu „Condor"... od bombardowań Barcelony i traktów pirenejskich do nalotów na Gdynię i Hel minęło zaledwie pół roku, wypełnione zresztą gorączkowymi przygotowaniami, ćwiczeniami i koncentracjami w rejonie Szczecinka i Słupska.

Ale trzeba było aż trzech z górą lat, ażeby duża część społeczeństwa polskiego zrozumiała, że Andaluzja, Biskaja, Austria i Laon — to było dalekie przedpole Oksywia, Westerplatte i Kutna, i Warszawy... Warszawy! Przedpole dalekie — dalekie tylko w przestrzeni, jakże bliskie w czasie strategicznej kalkulacji Brauchitscha, Keitla i kolegów O. K. W.

A ilu z nas myślało, że chodzi o walkę z komunizmem w Hiszpanii, o „obronę religii". Mój Boże... „walka z komunizmem w Hiszpanii"... A kiedy Franco podpisywał swą sławną umowę z Mussolinim — panował jeszcze w Hiszpanii prawicowy rząd — osławiony krwawymi represjami przeciw robotnikom Oviedo i Barcelony. Przeciw temu rządowi Franco spiskował i przeciw każdemu rządowi, któryby był rządem hiszpańskim, nie rządem Hitlera i Mussoliniego. To tylko przypadek, że był gotów, kiedy u władzy był rząd Frontu Ludowego, w którym nie było zresztą w chwili wybuchu komunistów, a socjaliści byli w mniejszości.

Obrona religii i cywilizacji... jakiej? Islamu Maurów, których wiódł Franco z powrotem do Europy, hitleryzmu jego najdzielniejszych, niemieckich lotników, wsławionych zbombardowaniem Guerniki — baskijskiej Jasnej Góry — czy katolicyzmu walczącego do końca przeciw Franco, rządu i ludu baskijskiego i setek jego księży, poległych i rozstrzelanych przez zwycięską „Falangę".

Nie. Nie o walkę z komunizmem, nie o obronę religii chodziło Hitlerowi, Mussoliniemu i Franco. Chodziło o Warszawę i Paryż, o Moskwę i Aleksandrię i o Oświęcim, Treblinkę, Chełm i Majdanek...

Teraz wszyscy to wiemy i rozumiemy. Teraz po tylu i takich latach. Z tym większym uznaniem i czcią zwracamy się dziś do tych Polaków, którzy zrozumieli odrazu. Do tych robotników i górników, którzy pierwsi pod polskim sztandarem stanęli, by osłonić piersiami Madryt i Warszawę.

O tych pierwszych obrońcach i pierwszych poległych w obronie naszej i waszej wolności myślimy dzisiaj w skupieniu, kiedy 10 lat mija od pierwszych strzałów na przedpolu.

A dla siebie wyciągamy na przyszłość naukę: trzeba rozumieć na czas.

Od i do Redakcji

P. Kajetan Szalej. Niektóre z nadesłanych bajek będziemy drukowali.

Chudobice, Kudowa czy Chudowa?

P. Jerzy R. pisze do nas: „W czerwcu i lipcu r. b. ogłoszenia burmistrza Kudowy, uzdrowiska na Dolnym Śląsku, nazywają je **Chudobicami - Zdrojem**; jednocześnie napisy drogowe oznaczają tę miejscowość jako **Kudowę**, natomiast Zarząd Kolejowy używa nazwy **Chudowa - Zdroj**. Należałoby wyjaśnić, jaka nazwa jest właściwa. Sądzę, że wypadek z Kudową nie jest odosobniony na terenach Ziem Odzyskanych.

ECHA „ŚWIĘTA ODRODZENIA"

Święto Odrodzenia, szczególnie tak uroczyście obchodzone w Stolicy przez otwarcie mostu Poniatowskiego i uruchomienie nowych linii tramwajowych jest omawiane jeszcze do dziś, choć wróciliśmy do normalnej pracy po dwóch dniach wypoczynku. Święto Odrodzenia upłynęło pod znakiem odbudowy. Słusznie wysunięto w rożnej formie — na łamach prasy, „kluczową pozycję": człowieka. Jeśli słuchamy i czytamy tak dużo o biurokracji, nadużyciach i szabrownikach, to tylko dlatego, że jest to narośl chorobliwa, rzucająca się w oczy. Natomiast zbyt mało zwróciliśmy uwagi na jedną sprawę dość istotną.

Umiemy wydobyć z siebie olbrzymi wysiłek, ofiarność, przezwyciężać trudności i przeszkody w najgorszych warunkach. Stawiamy jednakże dopiero pierwsze kroki w pracy systematycznej.

Zjawia się pytanie; jak osiągnąć systematyczność, tak niezmiernie ważną, a tak trudną do wykształcenia? Widzimy jedną najwłaściwszą drogę: spółdzielczość, która w odrodzeniu naszego życia odegrała wielką rolę i odgrywa coraz większą.

WYKONANIE WYROKU NA GREISERZE

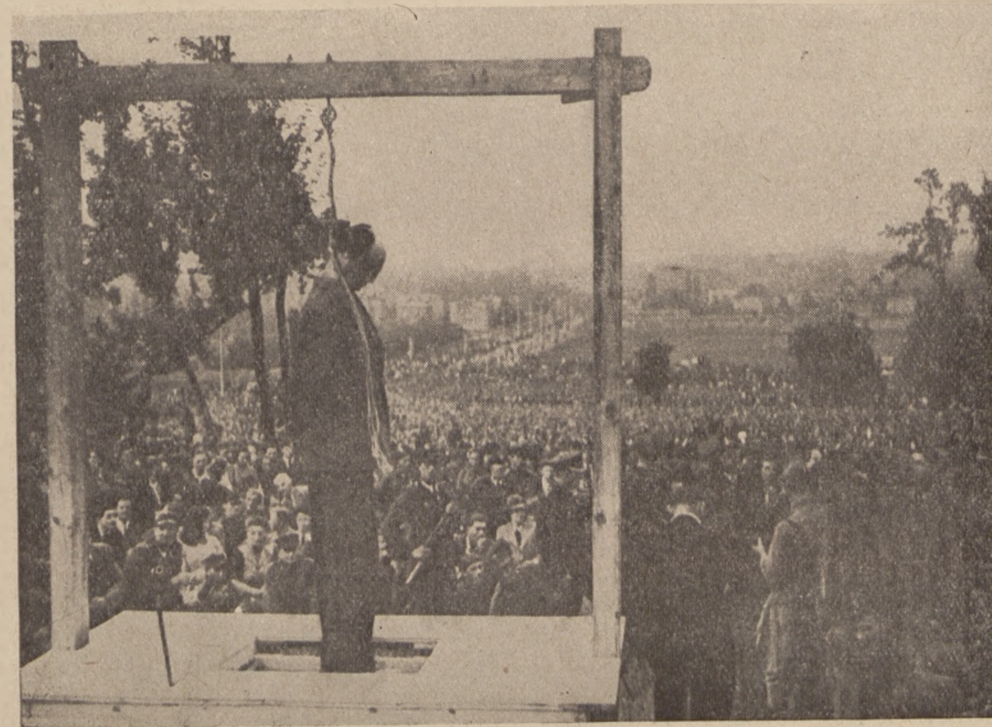


Greiser w oczekiwaniu egzekucji



Kat spełnia swą powinność

Interwencja Watykanu w sprawie darowania życia zbrodniarzowi wzbudziła, mówiąc oględnie, zdziwienie nie tylko w katolickiej Polsce, ale i w innych krajach. Nawet obietnice napisania „wielkiego dzieła o potrzebie pokojowych stosunków między narodami" — nie uratowała mu życia. Greiser zawisł na szubienicy, jak to mu się słusznie należało. Władze zarządziły egzekucję publiczną.



WIADOMOŚCI SPORTOWE

Kraków był ostatnio terenem niezmiernie ciekawego pojedynku między dwoma dawnymi rywalami sportu kolarskiego Kupczakiem z Krakowa i Bekiem z Łodzi. Łodzianin po wycofaniu się z wyścigów kolarskich na szosie całkowicie poświęcił się startom na torze. W Krakowie w czasie pojedynku lał deszcz. Tor był obślizgły. Walka była nadzwyczaj zażarta. Na metę obaj kolarze wpadli niemal jednocześnie. Kupczak wygrał pojedynek o gumę rowerową przed Bekiem.

W Czeladzi na Śląsku stanęły obok siebie reprezentacje lekkoatletyczne dwóch okręgów Łodzi i Śląska. Kierownicy zamienili wiązanki kwiatów i na tym właściwie biorąc mecz się skończył. Oberwała się chmura deszczowa, która zatopiła cały stadion sportowy. Nie mogło być mowy o prowadzeniu zawodów. Łodzianie wrócili do domu przywożąc z sobą tylko kwiaty.

Pierwsze powojenne mistrzostwa pływackie Polski odbyły się w Poznaniu. W basenie na Sołaczu zgromadzili się wszyscy najlepsi zawodnicy ze wszystkich zakątków kraju. Niestety nie osiągnięto nadzwyczajnych wyników, które zasługiwałyby na uwagę.

W Warszawie zorganizowany został zlot ZWM. Najciekawszym punktem programu był mecz w szczypiorniaku pań z udziałem doskonałej drużyny mistrza „Zrywu" z Łodzi. Łodzianki odniosły zasłużone i zdecydowane zwycięstwo.

Polski Związek Lekkoatletyczny jest w oczekiwaniu otrzymania konkretnej odpowiedzi w związku z przyjazdem zawodników amerykańskich. Mają oni wziąć udział w wielkich międzynarodowych zawodach w Warszawie przy ustaleniu reprezentacji Polski na wyjazd do Oslo na mistrzostwa Europy.

Łódź prowadzi pertraktacje z Ambasadą Angielską w Warszawie w sprawie przyjazdu do Polski piłkarskiej drużyny angielskiej ze strefy okupacyjnej Niemiec. Anglicy mają grać w Łodzi w pierwszych dniach sierpnia.

Polski Związek Bokserski zakontraktował na połowę listopada mecz międzypaństwowy Polska — Szwecja. Spotkanie odbędzie się w Katowicach. Po meczu w Katowicach Szwedzi mają rozegrać jeszcze jeden mecz, ale już w barwach reprezentacji Sztokholmu w Łodzi, Warszawie względnie w Poznaniu.

Skleroza

CÓŻ TO JEST DEKRET?

W „Życiu Warszawy" (Nr 186) natrafiamy na następujące

PODZIĘKOWANIE

Dziękuję ob. Ministrowi Pracy i Opieki Społecznej Stańczykowi, że mi dopomógł w pracy na Uniwersytecie Łódzkim dekretem służbowym z dn. 15 czerwca 1946 r. Nr 3/2396/46, wręczonym mi osobiście. Prof. Bartyński Bronisław, dziekan wydziału prawno-ekonomicznego Uniwersytetu Łódzkiego. — 18745—1.

NAŁKOWSKA I FEUDALIZM

„Głos Robotniczy" (Nr 186), omawiając twórczość Nałkowskiej uważa:

Nałkowska nie była nigdy feministką. Na przeobrażenie kobiety... wpłynęły te zmiany, które przyniosła pierwsza wojna światowa, niszcząc pozostałości ustroju feudalnego; Nałkowska jest wyrazicielką nowego człowieka i nowych idei..."

O ile nam wiadomo, pierwsza wojna światowa zakończyła się w r. 1918, natomiast „ustrój feudalny", sięgający swymi początkami w. IX, rozkwitał na zachodzie Europy w epoce wypraw krzyżowych, Nałkowska zaś... Zresztą, nie wiemy: może to jest kobieta wieczna.

GDZIE JEST SŁOBODNIK?

W „Rzeczypospolitej' (Nr 185) w notatce p.t. „Terror angielski w Palestynie" przytoczony jest „komunikat specjalny, podpisany przez przedstawiciela komitetu do spraw żydowskich w Palestynie". Nazwisko „przedstawiciela", podpisanego pod komunikatem, brzmi: Włodzimierz Słobodnik. Od szeregu miesięcy widujemy codziennie Włodzimierza Słobodnika w Łodzi, jak sobie mieszka w Domu Literatów i pisuje satyryczne wiersze do „Szpilek". Nawet w tymże numerze „Rzeczypospolitej", na innym miejscu, znajdziemy jego romantyczny wiersz o Łodzi p. t. „Nim błysną gwiazdy". Z jakiego więc rodzaju fenomenem mamy do czynienia?



Anegdoty historyczne

PRZYTOMNOŚĆ UMYSŁU

Za czasów Rewolucji Francuskiej życiu niejednego niewinnego człowieka groziło na każdym kroku niebezpieczeństwo. Pewnego dnia opat Maury, znakomity kaznodzieja i późniejszy kardynał, był poznany na placu de Grève przez zgromadzony tłum. Schwytano go z okrzykiem: „na latarnię" i pociągnięto na najbliższy róg. Już z jakiegoś rzemienia sporządzono stryczek i zarzucono go na szyję opatowi, gdy ten z zupełnym spokojem zawołał swoim dźwięcznym głosem:

— Czy sądzicie obywatele, że jeśli mię zawiesicie na latarni, będzie ona wam świecić jaśniej?

Ta przytomność umysłu wystarczyła, że stosunek tłumu do kaznodziei zmienił się natychmiast. Zamiast go wieszać, poczęto wznosić okrzyki na jego cześć i odniesiono go na ramionach do domu.

REKORDY

„Dziennik Ludowy" (Nr 302) podaje sensacyjne wiadomości z Annopola:

„Jest u nas młody chłopiec... teraz ma lat 16... Gdy ludzie wrócili po wojnie na swoje gruzy... chłopiec zabrał się z rówieśnikami do uprzątania gruzów... Pod jego przewodnictwem mali chłopcy pokryli dachem kościół i plebanię. Zaczęli uprzątać budynek szkolny i urządzili go dla dzieci. Gdy przyszła wiosna, ludzie nie mogli siać, bo min było więcej niż kamieni. Wówczas chłopiec ten sam bierze się do rozminowania pól... i tak bezinteresownie rozminował wszystkie pola, ogółem zebrał 10.620 min, a nawet organizował już z kolegami harcerstwo".

„GOAL". Nieudana interwencja bramkarza „Legii" na meczu z „Polonią" o mistrzostwo Warszawy, — zakończonego zwycięstwem „Polonii" w stosunku 6 : 3

„Durchhalten"

Berlin (w lipcu)



Niemcy jeśli nie mogą zdobywać i mordować — zmieniają się natychmiast w uprzejmych kupców. Ta druga cecha ich charakteru, przy wielkich zdolnościach organizacyjnych, występuje również silnie jak i poprzednie. Każdy anglik czy amerykanin przechadzający się po Kurfürstendamm, czy też idący na czarny rynek pod Brandenburgertor, albo na Aleksanderplatz, gdy chce cośkolwiek załatwić, natychmiast widzi dokoła siebie gromadkę wesoło uśmiechniętych berlińczyków, na każde jego pytanie pada kilka chóralnych odpowiedzi, na każdą propozycję — konkretne i nęcące oferty. Jakże niema miękną serce okupanta, kiedy na każdym kroku, w mieszkaniu, na ulicy, w kawiarni czy też urzędzie państwowym spotyka się tyle życzliwości, zrozumienia sprawy i oddania. Uprzejmość, energia, pochlebstwo graniczące z lizusostwem robią swoje, ale ledwie dostrzegalne skrzyżowania spojrzeń niemieckich mówią co innego — „durchhalten".

*

U siebie w domu, wśród czterech ścian Niemcy są inni — też kupcy, lecz rozważni, z ołówkiem w ręku, jak właściciel źle prosperującego sklepu, który po wyjściu klienteli, zamyka się w swym kantorku i rozważa na zimno wszelkie możliwości wybrnięcia z ciężkiej sytuacji. A sytuacja jest trudna. Zarobki Niemców w zależności od grupy pracy i zajmowanego stanowiska wahają się od 170 do 600 marek (marka odpowiada 1 zł 55 gr.). Przydziały kartkowe też zależnie od grupy pracy wydawane są regularnie lecz skąpo. Chleba dostają Niemcy od 400 do 600 grm. dziennie (kilogram 40 fen.) mięsa około pół kilo tygodniowo (3 mk. kilo), tłuszczu 10 dkg. tygodniowo (kilogram 4 i pół marki) cukru około jednego kilograma miesięcznie, (kg. za 1 mk.), kartofli 400 grm. dziennie, trochę mąki, czasem konserwa i wszystko. Co prawda bilet tramwajowy kosztuje 30 fen. kino 5 mk., a teatr 10 mk., ale za to ceny na czarnym rynku są bardzo wysokie. Obiad w przyzwoitej restauracji około 400 mk. Metr wełny 3.000 mk. — więc trudno zabawić się i ubrać.

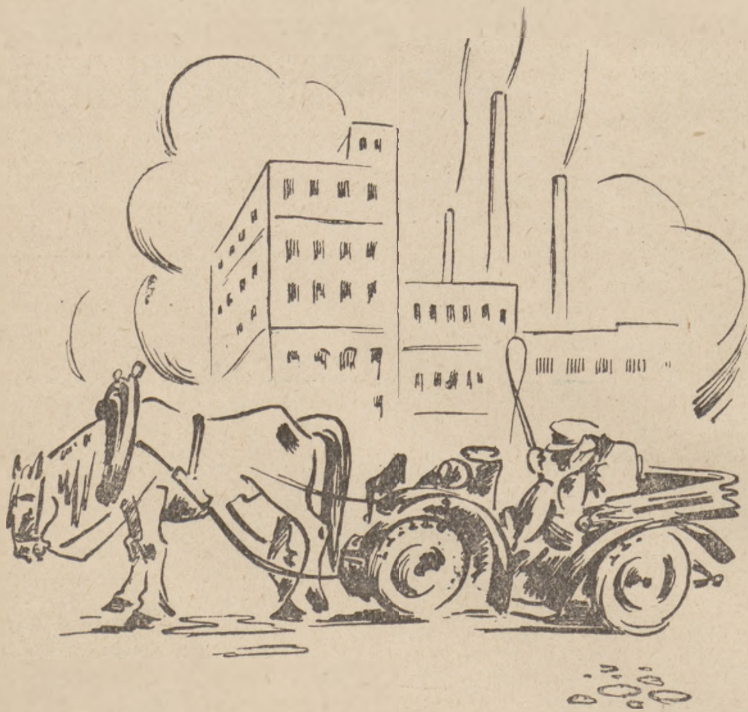
Niemiec się martwi, oblicza, jak długo stan taki może jeszcze potrwać, jak pogodzić cały szereg sprzeczności. Ale kupiec w nim zwycięża — jego córka jest przecież pod opieką aliantów. Niemiec wychodzi uśmiechnięty na miasto. W barze na Schloss - Strasse pod opieką aliantów siedzi młoda „Bebi", nad stolikiem pochylony skrzypek patrzy na młodą dziewczynę z wyrazem pełnym tkliwości — durchhalten.



J. Ch.

Włodzimierz Słobodnik

ŁYKAMY KURZ



Łykamy kurz, jak jaką zmorę,
Od kurzu płuca nasze chore,
Idziemy codzień trotuarem
W bezwolną dal, jak przez Saharę,

Gdy wóz przejedzie — chmura pyłu
Nad nami z boku, z przodu, z tyłu,
Czasem szkapina umęczona
Poleje jezdnię z pod ogona,

Lub pod latarnią, jakie psisko
Zrobi to samo — ot i wszystko!
Sny innych — miłość, róże, rymy,
My o sikawkach zwykłych śnimy,

Ach, my nie mamy górnych marzeń—
Śnimy o mokrym trotuarze.
Nasz błogi sen, nasz sen powszedni —
Woda na suchym łonie jezdni!

Jeśli jej nie ma w kranach, przecie
Jest w tygodniku, jest w gazecie,
Weź dwa sążniste artykuły
I jeden wierszyk bardzo czuły,

Weź sprawozdanie referenta,
I kawiarniane weź rozmowy,
A woda wnet zaleje cię ta,
O Polsko ma od stóp do głowy.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje w dni powszednie od 13 — 14-ej
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37 m. 1, tel. 14-906 ● Redakcja rękopisów nie zwraca ● Prenumerata miesięczna 30.— zł.
Konto P. K. O. Łódź VII Nr 4321 ● Drukarnia: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja 63 ● D. 01492